



Mirosław Derecki (md)

EKRAN I WIDZ: „JEREMIAH JOHNSON”

Komu miła młodzięcza fascynacja Górami Skalistymi, wyniesiona z lektury „indiańskich” książek, ten niech koniecznie obejrzy „Jeremiaha Johnsona”! Barwny, szerokoekranowy film poprowadzi go raz jeszcze głębokimi, lesistymi dolinami, wśród surowych górskich szczytów, o które odbijały się wojenne okrzyki Winnetou, tętent wierzchowców Old Shatterhanda i Sama Hawkensa, ujadanie Cukierka - psa Krwawego Natana, Dżibbenosaha, Ducha Puszczy.

Wśród wielu opowieści związanych z podbojem Gór Skalistych przez białego człowieka, znajduje się również - raczej nieznaną polskiemu czytelnikowi - legenda o Jeremiahu Johnsonie zwanym Krukobójcą-Pożeraczem Wątroby. Traper o takim imieniu i nazwisku, żonaty z Indianką, jest postacią autentyczną, mieszkał i polował w ubiegłym wieku w Górach Skalistych. Pewnego dnia wróciwszy do domu zastał zmasakrowane zwłoki żony i syna. Mordu dokonali Indianie z plemienia Kruków.

Od tego momentu Johnson staje się postacią mityczną. Osnuta wokół jego dalszego życia legenda głosi, że został mścicielem swoich najbliższych. Całymi latami tropił wojowników Kruków, a następnie pożerał wątroby pokonanych wrogów. Specyficzne warunki, w jakich przyszło mu żyć, miały zmienić tego łagodnego człowieka, który uciekł od cywilizacji na łono nieskalanej przyrody - w krwiożerczą bestię.

Znany amerykański reżyser średniego pokolenia Sydney Pollack (oglądaliśmy w Polsce jego „Wątlą nić”, „Łowców skalpów” i „Czyż nie dobija się koni?”, a z serialów telewizyjnych - „Dr. Kildara'a” oraz „Ściganego”) mógł na kanwie opowieści o Jeremiahu Johnsonie nakręcić film z gatunku „okropnościowców”, nurzając się dowoli w makabrze i okrucieństwie, tak modnych ostatnio w niektórych zachodnich kręgach filmowych. Ale Pollack postanowił stworzyć film ambitny, który nosząc wszelkie cechy obrazu przygodowego, zawierałby zarazem poważny ładunek humanizmu.

Głównym bohaterem „Jeremiaha Johnsona” uczynił Góry Skaliste. To przede wszystkim góry, puszcza, doliny, rwące potoki, filmowane we wspaniałych ujęciach i z ogromną umiejętnością wczucia się w krajobraz, wpływają na sposób życia i na filozofię żyjących wśród nich ludzi. Przybysz z nizin, porzucając prawa i obyczaje wytworzone przez

tamtejszą cywilizację, musi dostosować się do praw jakie narzuca mu przyroda. I trzeba nieraz przeżyć dopiero wiele lat w nowym środowisku, żeby zrozumieć, że owe prawa przyrody zawierają w sobie swoisty pierwiastek moralności. Kto tego nie dostrzeże, schodzi poniżej poziomu zwierzęcia.

Reżyser wyeliminował z opowieści o Jeremiahu Johnsonie najbardziej legendarną jej część - po prostu nie wskazuje w filmie na to, że nieszczęśliwy traper doszedł w swojej zemście do kanibalizmu. Przeciwnie: zabijając kolejno indiańskich wojowników coraz bardziej uświadamia sobie, że mord dokonany przez Kruków na jego żonie i synie był ze strony Indian nie tyle aktem bestialstwa co - w ramach tutejszych praw moralnych - aktem kary za przypadkowe zbezczeszczenie świętego cmentarza Kruków przez samego Jeremiaha. Indianie ze swej strony rozumieją rozpacz i żądzę zemsty nurtujące duszę trapera. I wszyscy wiedzą, że nadejdzie taki moment, kiedy w obliczu potęgi i niezniszczalności przyrody ludzkie namiętności wygasną, a wówczas wódz Kruków i Jeremiah Johnson wyciągną ku sobie ręce na znak zgody.

I wreszcie - kolejny bohater filmu Pollacka: autentyczna społeczność indiańska zamieszkująca Góry Skaliste, Indianie ze szczepów Utea i Hopis spośród których reżyser wybrał nie tylko statystów, ale również powierzył im szereg pierwszoplanowych ról.

Jakże różni się „Jeremiah Johnson” od owych filmów „indiańskich”, na które od kilku lat jesteśmy skazani: od owych komiksowych przygód wodza Apaczów, w którego żyłach płynie czysta niemiecka krew, galopującego na lotnym mustangu wśród gór Jugosławii, a mającego za towarzyszy gromadę Serbów przybranych w orle pióra!

Pierwodruk: „Kamena”, 1975, nr 3, s.14.